

ALEKSANDER KOWARZ  
SAMEMU BOGU CHWAŁA



ALEKSANDER KOWARZ

SAMEMU BOGU CHWAŁA

Copyright © by Aleksander Kowarz, 2014  
All rights reserved

Ilustracja na okładce  
Artur Sadłos

ISBN 978-83-938871-4-9

*Ukochanej żonie Alinie, pierwszej redaktorce wszystkich moich tekstów.*

# PROLOG

Pustynne słońce, wiszące wysoko na nieboskłonie, paliło niemiłosiernie. Powietrze drżało pod jego promieniami. Zdawało się, że sam złocisty piasek się poci. Wiatr nie chłodził, lecz potęgował upał.

Na horyzoncie, pośród falujących z gorąca gór, pojawiła się ciemniejsza kropka. Rosła z każdą chwilą, aż można było rozpoznać ludzką sylwetkę. Mężczyzna był wysoki i szczupły, szedł pewnym, równym krokiem, choć piasek parzył mu stopy poprzez podeszwy butów. Nosił luźne spodnie i koszulę, głowę osłaniał zawój przewiązany sznurem. Usta, dla ochrony przed piaskiem, który niósł wiatr, osłaniał materiałem. Wszystko w jasnych kolorach, które odbijały promienie słońca. Skrawek ogorzałej twarzy, jaki można było dostrzec wokół oczu, pozwalał się domyślić, że mężczyzna sporo czasu spędzał na słońcu.

Szedł prosto ku samotnej skale, w cieniu której znajdował się obóz. Pod wielką płachtą materiału, rozpiętą na czterech stalowych żerdziach, kręciło się kilku ludzi. Wąski stół zastawiony był sprzętem. Laptop i niewielka antena pozwalały na utrzymywanie łączności satelitarnej. Obok stały zaparkowane dwa samochody. Obozu pilnowali uzbrojeni strażnicy. Któryś z nich spojrzał w kierunku gór i dostrzegłszy nadchodzącego przybysza krzyknął coś po arabsku. Na te słowa siedzący przy laptopie mężczyzna podniósł się. Był postawnym brunetem w wieku około czterdziestu lat. Starannie przystrzyżone wąsy i broda okalały jego usta. Stał przed namiotem i osłaniając oczy spojrzał w kierunku, który wskazywał palcem jego towarzysz. Uśmiechnął się pod nosem, zabrał ze stołu butelkę wody i wyszedł na spotkanie wędrowca.

– As-Salāmu `Alaykum – powiedział, gdy stanęli o dwa kroki od siebie. Podał butelkę mężczyźnie.

– Wa `Alaykum as-Salaam – odparł przybysz odwijając materiał z twarzy, którą pokrywał ciemny, kilkudniowy zarost. Był nieco po trzydziestce. Z westchnieniem pociągnął łyk wody.

– Martwiliśmy się o ciebie, Malcolmie. Nie było cię trzy dni – Arab gładko i bez cienia obcego akcentu przeszedł na francuski, choć mogli swobodnie rozmawiać w jego ojczystym języku.

Ruszyli w kierunku obozu.

– Wskazówki nie były dokładne. Teren również zmienił się przez te wszystkie lata.

– Znalazłeś to, czego szukałeś?

– Owszem – odparł Malcolm. Z przewieszzonej przez ramię skórzanej torby wyjął niewielki pojemnik. – Ta próbka da nam odpowiedź, w każdym razie liczę na to. Jeśli moje przypuszczenia się potwierdzą, omówimy kwestię transportu sarkofagu.

Arab skinął głową.

– Zwiniemy obóz w godzinę – powiedział. – Ty w tym czasie zjedz coś i odpocznij.

– Nawet nie wiesz, jak jestem głodny – odparł Malcolm siadając przy stole.

Nim jednak zabrał się za jedzenie, wyjął z torby oprawiony w skórę notatnik oraz pióro. Otworzył dziennik na pierwszej wolnej stronie i zaczął pisać.

*30 września 2011*

*W końcu znalazłem to, czego szukałem. Przynajmniej taką mam nadzieję. Na ostateczny wynik trzeba będzie poczekać, aż próbki zostaną poddane badaniom. Nie chcę rozbudzać w sobie nadmiernych nadziei, ale jestem bardzo podekscytowany. Jeśli mam rację, to jest to największe znalezisko w historii! Przywróci Zakonowi dawny sens istnienia.*

*Moi arabscy przyjaciele służą mi nieocenioną pomocą. Gdyby nie ich trud, ta wyprawa w ogóle nie doszłaby do skutku. Czasy są niebezpieczne. Odkąd Palestyńczycy, wspierani przez Hamas i jemeńską broń,*

*najeżeli Izrael, trwa tu wojna. KaŹdy, kto choć przypomina Źyda, jest naraŹony na nagłą śmierć. Nawet ja, mimo iż jestem Irlandczykiem. Co prawda moi najdalsi przodkowie byli Źydami, lecz nikt by się tego nie domyślił. Ale, jak już wspominałem, trwa tu wojna. Najpierw się strzela, dopiero potem pyta. Gdyby nie ochrona, którą otoczyli mnie moi przyjaciele, mógłbym już nie żyć.*

*Teraz problemem jest zabezpieczenie znaleziska i przetransportowanie go do Francji. Tym jednak będę się martwił, gdy przyjdzie na to czas. Dopiero co wróciłem z trzydniowych poszukiwań na pustyni. Jestem skonany, głodny i spragniony.*

CZEŚĆ I

KATEDRA

# ROZDZIAŁ 1

*Szesnaście lat później.*

Luty tego roku był srogi. Skuł ziemię lodem i przysypał śniegiem. Przed sięgającym minus dwudziestu stopni mrozem nie było ucieczki. Wdzierał się pod płaszcze, kurtki, swetry i przenikał do szpiku kości. Właził do butów i zimnymi palcami ścisnął stopy. Śnieg padał bez przerwy od tygodnia. Przykrył stolicę prowincji puchową kołdrą, w której służby miejskie z mozołem wytyczały szlaki. Świeżo odgarnięty z chodnika śnieg odsłaniał lodowe pułapki, grożące połamaniem nóg nieostrożnym pieszym. Nieliczne samochody jeździły tak powoli, że poruszały się niewiele szybciej od przechodniów. Między chodnikami i jezdniami narastały hałdy brudnego śniegu, nagromadzone przez pługi utrzymujące ulice przejezdny.

Valerie szła ulicami Paryża tuląc do piersi małe zawiniątko. Była drobną dziewczyną, ubraną w wełnianą, sięgającą kostek spódnicę i pamiętającą lepsze czasy puchową kurtkę z kapturem, który skrywał jasne włosy. Grube rajstopy chroniły przed zimnem nogi i stopy, na których miała stare, sznurowane półbuty.

Bała się. Chłopczyk opatulony w kocyk chyba wyczuł niepokój matki, bo zakwilił cichutko.

Dziewiętnastolatka zawitała do Paryża po raz pierwszy w życiu. Miasto przeraziło ją. Ponure, ciche i zbite w niczym nie przypominało jej rodzinnego miasteczka. Trets było małą miejscowością, pełną wąskich, brukowanych uliczek i uroczych kamieniczek. Na rynku co tydzień odbywał się targ, wypełniając plac radosnym gwarem. Lubiała tam przychodzić, żeby choć popatrzeć na rzeczy, na które nie było jej stać. Sprzedawcy, w większości miejscowi, którzy znali Valerie od dziecka, byli przeważnie uprzejmi, czasem któryś zaoferował jabłko. W Trets mieszkali otwarci, mili ludzie. Przynajmniej do czasu.

Ponoć stolica niegdyś była inna. Paryż z opowieści ludzi, którzy sami już znali go z gawęd i wspomnień innych, widywała jedynie na rozpadających się ze starości zdjęciach i w snach. Piękny, słoneczny, z majestatyczną Wieżą Eiffla w samym sercu, z której dziś pozostał jedynie jeden z czterech filarów. Nie rozebrali go, zostawili ku przestrodze.

Zniknęła bazylika Sacré-Coeur oraz Luwr, Łuk Tryumfalny leżał w gruzach. La Défense, dzielnica wielkiego biznesu, straszła budynkami, z których, pozostały pojedyncze ściany z pustymi oknami, bez szyb, pośród sterty cegieł. Wielki Łuk, wizytówka tej dzielnicy, stojący na osi Łuku Tryumfalnego i piramidy Luwru, zawałił się, gdy trafiła go salwa artylerii Armii Boga. Sorbona, na której kształciły się i wykładały najwybitniejsze umysły Europy, została zrównana z ziemią. Ten sam los spotkał katedrę Notre-Dame. Na jej ruinach wzniesiono później nową Katedrę. Paryż z tamtych dni nie istniał. Jak wszystkie stolice i większe miasta Europy spłonął w wojennej pożodze Dżihadu, dawno temu.

Gdy pył w końcu opadł, nastał Nowy Porządek i rozpoczęła się mozolna odbudowa. Przestał istnieć podział na państwa i narody. Od Atlantyku po rzekę Bug cała Europa została podzielona na prowincje i okręgi, a najważniejszym z nich był okręg Rzym, w którym mieścił się Watykan. Stamtąd Rada Apostołów pod kierownictwem papieża sprawowała władzę nad wszystkimi prowincjami. Lokalnym ośrodkiem władzy każdego okręgu był natomiast kompleks Katedry. Tam swe siedziby mieli patriarchowie, wybierani przez Radę Apostołów i przed nią bezpośrednio odpowiedzialni. Najwyższy rangą patriarcha danej prowincji zamieszkiwał w komnatach Katedry znajdującej się w dawnej stolicy niegdysiejszego państwa.

Byli tacy, którzy sprzeciwili się władzy Kościoła. Sformowali ruch oporu, za co obwołano ich buntownikami, terrorystami i heretykami. Owszem, zdobyli trochę broni, ale nie mieli zamiaru jej używać do celów innych, niż samoobrona. Uciekli w góry i jedyne, czego chcieli, to żeby pozwolono im żyć tak, jak chcą. Mimo to polowano na nich. Byli nieuchwytni do czasu, gdy wywiad zlokalizował ich kryjówkę. Gwardia



przypuściła bezlitosny szturm na ukryty w Pirenejach obóz. Nie było negocjacji ani wezwania do złożenia broni. Ci, którzy przeżyli atak żołnierzy Kościoła, zostali zastrzeleni na miejscu. Wśród ofiar były kobiety, dzieci i starcy. Nikogo nie oszczędzono. Mieli posłużyć za przykład, że Kościół nie cofnie się przed niczym umacniając swą władzę.

Nie mogła tak żyć, zhańbiona, z dzieckiem. Zwłaszcza niechcianym. Postanowiła wyjechać do Paryża i tam szukać szczęścia. Chłopca zdecydowała się oddać na wychowanie Kościołowi. Nie kochała go. Nie potrafiła. Ilekroć spoglądała w jego twarzyczkę, widziała tamtego mężczyznę, czuła na sobie jego ciężar i gorący oddech. Jak mogłaby pokochać dziecko poczęte w wyniku gwałtu?

Ile de la Cité. Była już prawie na miejscu. Z przepięknej gotyckiej świątyni nie pozostał kamień na kamieniu. Całą wyspę zajmował wojskowy kompleks, a w jego centrum stała Katedra. Po prostu Katedra, bez patrona.

Zbudowana z ciężkich, dokładnie oszlifowanych, granitowych bloków i ze stali, wyrastała ponad miasto, niczym niegdyś Wieża Eiffla. Powstała na planie krzyża, miała jedną strzelistą wieżę wznoszącą się nad wejściem i wiele rozmieszczonych dookoła witraży. Jej ściany, gładkie, niczym tafla szkła, pozbawione były wszelkich ozdób. Nad wrotami znajdował się balkon, z którego patriarcha okręgu paryskiego często spoglądał na domy swoich owieczek. Za balkonem były jego prywatne komnaty. Cała Katedra wspierała się na dwunastu stalowych filarach, po jednym na każdym zewnętrznym rogu szarej konstrukcji. W przeciwieństwie do reszty budowli, były czarne.

Wokół kościoła wznosił się szereg innych budynków. Jak w każdym kompleksie, znajdowała się tam kwatera Gwardii, koszary piechoty, siedziba Inkwizycji oraz cele mnichów. Cały kompleks otoczony był wysokim murem biegnącym dookoła wyspy, którą ze stałym lądem spinały dwa mosty. Na skraju każdego z nich wznosił się łuk, a na nim stalowymi literami wypisane były słowa: *Terribilis est locus iste*. Czytając to, wzdrygnęła się, pomimo że nie znała łaciny.

Dwie ciężarówki z wymalowanymi na drzwiach białymi krzyżami i wypełnione żołnierzami dudniąc i rycząc minęły Valerie, która ze strachu skuliła się przy barierce. Spod kół samochodów posypał się na nią na wpół roztopiony solą śnieg. Syn w jej ramionach zaczął płakać.

Ciężarówki zniknęły za bramą kompleksu, do której i ona się zbliżała. Przy bramie znajdowała się niewielka furta. Nacisnęła znajdujący się obok przycisk dzwonka. Czekaając, spojrzała w górę. Na balkonie Katedry stała ubrana na biało postać. Valerie zdawało się, że spogląda wprost na nią.

Furta otworzyła się.

## ROZDZIAŁ 2

Późnym popołudniem strzelnica zazwyczaj była pusta. Nie była niczym więcej, niż ogrodzonym pasem ziemi, podzielonej na kilka torów i kończącym się przy murze kompleksu Katedry. Nieopodal stał barak, w którym na czas ćwiczeń można było wypożyczyć broń wraz z amunicją. Większe manewry odbywały się na poligonie znajdującym się kilka kilometrów za Paryżem.

Żołnierz złożył się do strzału. Walek popiołu z trzymanego w zaciśniętych ustach papierosa spadł na ziemię.

W końcu szczerbinka zeszła się z muszką na tle pustej, aluminiowej puszki po napoju energetycznym. Nacisnął spust. Puszka ani drgnęła. Pocisk wbił się w ziemię kilka centymetrów od niej.

– W dupę Mahometa... – mruknął.

– Będziesz się z tego spowiadać... – odezwał się stojący po prawej Tiro Ravendorf. – Poza tym wydaje mi się, że dym z papierosa przesłonił ci cel.

– Znalazł się ekspert – odparł Ateron. – Znasz się na tym, jak gówno na poezji.

Słyszając to, śmiechem parsknął Jasper Deveraux, ostatni z trójki przyjaciół.

– Zamiast rzeć, sam pokaż co potrafisz – warknął Tiro.

– Po co? – Jasper wzruszył ramionami. – Ja się z wami o nic nie zakładałem.

– W każdym razie, panie Kern – Tiro zwrócił się do Aterona – masz ostatnią szansę. Jeśli i tym razem nie trafisz w puszkę, stawiasz mi skrzynkę piwa. Skrzynkę, nie jedno piwo.

Ateron zaciągnął się papierosem, rzucił niedopałek papierosa na ziemię i rozgniół. Przystawił karabin na ogień ciągły, wycelował i puścił serię. Tym razem puszka została zmieciona.

Z tyłu ktoś zaczął bić brawo. Cała trójka odwróciła się i momentalnie stanęła na baczność.

– Brawo, poruczniku – powiedział pułkownik Kor „Gejzer” Tagers, głównodowodzący sił zbrojnych Katedry, nie przestając klaskać. Był łysy jak kolano, a jego prawy policzek przecinała brzydka blizna, pamiątka po dawnej bitwie. Podczas innej walki został postrzelony w nogę i od tamtego czasu lekko utykał.

– Jak tak dalej pójdzie, to z heretykami będziemy walczyć rzucając w nich kamieniami – dodał.

– Pułkowniku...

– Cicho – przerwał Tagers. – Mamy robotę. Odprawa za piętnaście minut. Ku chwale Chrystusa.

– Ku chwale Chrystusa – odpowiedzieli porucznicy zgodnym chórem.

Gejzer skinął głową, odwrócił się i odszedł w kierunku kwater Gwardii.

– Upięknio nam się... – mruknął Ateron.

– Raczej tobie – powiedział Tiro, uśmiechając się szeroko. – To nie my tu marnujemy amunicję.

– Boże drogi, ależ ja jestem głupi, żeby dawać ci się tak podpuszczać – Kern pokręcił głową. – A przy okazji, wisisz mi skrzynkę piwa.

– Ja? – oburzył się Ravendorf. – Przepraszam cię bardzo, ale miałeś trafić w puszkę pojedynczym strzałem, nie serią.

– Tak? A gdzie to jest zapisane? Jasper, słyszałeś o takim warunku, gdy się zakładaliśmy?

– Nie – odparł Deveraux. – Obawiam się, Tiro, że Ateron ma rację.

– Uknuliście to wspólnie, co? – zapytał Tiro. – Przecież to dwumiesięczny przydział piwa!

– Och, daj spokój. Nie przeszkadzało ci, gdy chciałeś pozbawić mnie mojego przydziału. Jak ma ci to poprawić humor, to wypijemy je wspólnie. Ale i tak ty stawiasz – Ateron przyjaźnie klepnął przyjaciela w plecy. – A teraz chodźmy, bo jak się spóźnimy na odprawę, Gejzer nie będzie tak wyrozumiały.

\*\*\*

Sala odpraw była prawie pełna, gdy weszli. Pomieszczenie przypominało niewielki amfiteatr. Wygodne krzesła były ustawione w półkolu wokół centralnego pulpitu, a każdy z rzędów znajdował się nieco ponad poprzednim. Oparcie każdego krzesła zawierało składany blat, na którym w razie potrzeby można było robić notatki. Dowódcy plutonów zwyczajowo siadali w pierwszym rzędzie, tuż przed pulpitem. Ścianę za nim zajmował ogromny ekran, służący do wyświetlania zdjęć i planów operacyjnych.

Na widok poruczników pozostali żołnierze przerwali rozmowy. Ledwo oficerowie zajęli swoje miejsca, w drzwiach pojawili się pułkownik Tagers oraz major Darane, dowódca oddziału Inferno. Zeszli na sam dół, Gejzer zajął miejsce za pulpitem i przeszedł od razu do rzeczy.

– W Chartres pojawił się Doskonały.

Przez salę, w której zgromadzeni byli żołnierze należący do oddziałów Aterona, Tiro i Jaspera, przeszedł szmer.

Doskonali należeli do heretyckiej sekty katarów. Byli jej duchowymi przywódcami. Mimo iż głosili, że wyrzekają się przemocy, zawsze strzegli ich ochroniarze, wybierani spośród najlepszych i najwierniejszych żołnierzy. To czyniło Doskonałych niezwykle trudnymi do schwywania. Zdarzało się, że gdy już nie było szans na ucieczkę, woleli popełnić samobójstwo, niż pozwolić, aby Święte Oficjum wytoczyło im pokazowy proces o herezję i skazało na śmierć. Kościół uważał ich za niezwykle niebezpiecznych i ścigał bez litości. O Doskonałych nie słyszało się już od kilkunastu lat.

– Myślałem, że ostatnich wyłapano po operacji Czyściec – mruknął Jasper.

– Najwyraźniej nie – odparł Ateron.

Pięć lat temu, jako świeży członek Gwardii, brał udział w walce przeciwko ludziom, którzy nazywali siebie katarami. Ich niewielka grupa zajęła szkołę w małej miejscinie na wschód od Paryża. Nie było wśród nich Doskonałego. Trzymając na muszce gromadkę dzieci zażądali wolności wiary i sumienia. Kościół wezwał ich do poddania się. Tylko raz. Potem wysłano Gwardię. Ani jeden z katarów nie przeżył szturm wojska. Niestety, kilkoro dzieci również ucierpiało. Polityka Kościoła była bezwzględna. Żadnych negocjacji z heretykami czy terrorystami. Jeśli pomimo ostrzeżenia nie złożą broni – zlikwidować. Ateron przez tydzień po akcji nie mógł zasnąć. Ostatecznie zaakceptował fakt, że w obronie prawdziwej wiary nie może być mowy o kompromisie, a pewien odsetek niewinnych ofiar jest nieunikniony. Wciąż jednak czasami śnił mu się mały chłopczyk, który patrzył na niego oczami szeroko otwartymi z przerażenia, gdy dławił się własną krwią.

– Nie wiemy, skąd się tam wziął – podjął pułkownik i żołnierze ucichli. – Zadanie jest oczywiste. Zlikwidować heretyków, Doskonałego schwytać żywcem. Tak? – dodał widząc podniesioną rękę.

– Czy to pewne? – zapytał Tiro. – Doskonałych nie widywano od lat.

– Informacje pochodzą z wiarygodnego źródła. W szczególności wprowadzi was major Darane.

Tagers zszedł z podwyższenia, a na jego miejscu pojawił się Darane. Na ścianie za nim wyświetliło się satelitarne zdjęcie fragmentu Chartres.

– Panowie, na palmtopach macie plany budynku i najbliższej okolicy. Zapoznajcie się z nimi dokładnie. Gdzieś wewnątrz tej kamienicy siedzi Doskonały – Darane stuknął wskaźnikiem w zdjęcie. – Przecheszymy ją od góry do dołu, rozbierzemy ją kamień po kamieniu, jeśli będzie trzeba, ale go znajdziemy. Chociaż budynek znajduje się na słabo zaludnionych przedmieściach, spodziewamy się oporu. Doskonały będzie miał obstawę. Plan akcji zakłada ciche podejście, to znaczy, że na miejsce dostarczą was ciężarówki. Wsiądziecie przecznice od kamienicy i pieszo ruszycie w kierunku celu. Element zaskoczenia jest kluczowy, heretycy nie mogą

wykryć naszej obecności. Deveraux, twój oddział wchodzi tylnym wejściem. Kern, ty i twoi ludzie ruszacie od frontu. Sprawdźcie też piwnice. Ravendorf, odpowiadasz za zabezpieczenie terenu wokół budynku. Jakież pytania?

– Zwiad satelitarny coś wykrył? – rzucił Deveraux, podnosząc rękę.

– Żadnych oznak podwyższonej aktywności. Jeszcze jakież pytania? Dobrze. Nie ma czasu do stracenia.

Ku chwale Chrystusa.

– Ku chwale Chrystusa! – gromko odpowiedzieli żołnierze.

\*\*\*

Na głównym placu przed bramą kompleksu Katedry czekały już trzy nieoznakowane ciężarówki. Kapłani pobłogosławili pojazdy i gwardzistów, którzy do nich wsiadali. Białe krzyże wyszyte na czarnych mundurach połowych lśniły w promieniach zachodzącego słońca. Kierowcy dla niepoznaki mieli na sobie zwykłe koszule, pod którymi kryły się wojskowe mundury.

Gdy ostatni z żołnierzy wskoczył na tył ciężarówki, major Darane, również ubrany po cywilnemu, wsiadł do kabiny pierwszego samochodu. Potężne, dieslowskie silniki ryknęły, z rur wydechowych wydobyły się kłęby czarnego dymu i konwój ruszył. Otwarto bramę kompleksu i ciężarówki popędziły mostem.

– Co myślisz o tej hecy z Doskonałym?! – zapytał Peter Corsa, jeden z żołnierzy oddziału Aterona, przekrzykując hałas.

– Nie mam pojęcia! – odparł Ateron. – Wydawało się, że wyłapano ich wszystkich już kilkadziesiąt lat temu!

– I dlatego tak istotne jest to, aby złapać i tego! – wtrącił major Darane, odsuwając szybę dzielącą kabinę od paki. – Nie możemy pozwolić, aby katarzy znów urosli w siłę! Musimy wyrwać ten chwast, nim zdąży się rozprzestrzenić!

Do Chartres dojechali już po ciemku. Gdy minęli roгатki miasta, major Darane wydał przez radio rozkaz do przygotowań. Gwardziści założyli lekkie kamizelki kuloodporne oraz hełmy, sprawdzili broń i założyli na lufy tłumiki.

Konwój zatrzymał się i żołnierze sprawnie wyskoczyli z pojazdów. Samochody miały czekać w tym miejscu aż do zakończenia akcji.

Pluton Aterona ruszył. Gwardziści szli gęsiego, prawie przytuleni do murów mijanych domów. Oddział Jaspera skręcił w boczną uliczkę, aby dotrzeć do budynku z przeciwnej strony. Żołnierze Tiro rozbiegli się po okolicy, aby otoczyć teren akcji, sformować blokady i usunąć osoby postronne.

Chartres było niegdyś pięknym miastem. Dżihad i nowy porządek, który po nim nastąpił sprawiły, że po dawnej świetności pozostał jedynie cień. Armia Boga przetoczyła się po Chartres, pozostawiając za sobą zgliszczą. Przepiękna gotycka katedra, chluba całej Francji, perła średniowiecznej architektury i największa atrakcja turystyczna zmieniła się w stertę gruzu. W jej miejscu stał teraz prosty kościół złożony z betonowych bloków. W niczym nie przypominał budowanej przez ponad trzysta lat średniowiecznej świątyni z dwiema nierównymi wieżami i ogromnym, wymalowanym na posadzce labiryntem wewnątrz. Labirynt ten przez wieki polerowały kolana wiernych, odbywających w ten sposób pokutę. W katedrze przechowywano *sancta camisia*, czyli suknię, którą miała nosić Matka Boska. Nie wiadomo, czy relikwię udało się uratować przed pogrzebaniem wśród ruin, Kościół milczy na ten temat. Niektórzy twierdzili, że w katedrze tej ukryto Arkę Przymierza, a dowodem na to miał być wizerunek tajemniczej skrzyni i łaciński podpis na jednym z filarów

katedry. Pięknych witraży o nazwach Błękitna Róża czy Najświętsza Maria Panna Pięknego Szkła nie rozświetla już nigdy promienie słońca.

Miasto zostało zbudowane na planie kwadratu, z prostymi ulicami biegnącymi ze wschodu na zachód i z południa na północ. Budynki, które przetrwały wojenną pożogę, choć nie było ich wiele, psuły doskonałą symetrię i wyróżniały się wśród nowych bloków, prostych i funkcjonalnych.

Żołnierze Aterona dotarli do skrzyżowania, przy którym stał interesujący ich budynek. Nieliczne latarnie rzuciły słabe kręgi światła na jezdnię i chodniki. Choć sam dwupiętrowy blok tonął w półmroku, bez trudu można było dostrzec, że powstał już po Dżihadzie. Pierwszą wskazówką był niegdyś biały, teraz już szarzejący tynk, drugą – kompletny brak jakichkolwiek ozdób. Do drzwi wejściowych, przed którymi zaparkowany był biały, dziewięcioosobowy bus, prowadziły trzy wąskie schodki. W oknach niektórych mieszkań paliły się światła.

– Alfa na miejscu – usłyszał w małej słuchawce głos Jaspera. Jego ludzie mieli w polu widzenia tylne wejście bloku, nad którym świeciła się słaba żarówka. Do znajdujących się w piwnicy drzwi prowadziły schody. Aby do nich dotrzeć, pluton musiał wejść w kręty zaułek, mniej więcej w połowie przecznicy.

– Beta na miejscu – Tiro informował, że teren jest zabezpieczony. Oddelegował jednego ze swych żołnierzy do pobliskiego transformatora, a dwóch najlepszych strzelców na dachy sąsiednich budynków.

– Gamma na miejscu – rzucił Ateron.

Jako że to on dowodził grupą uderzeniową, pozostali czekali na jego rozkazy. Dał znak swoim żołnierzom, aby założyli noktowizory.

– Ruch w kwadracie B – beznamiętny głos należał do jednego ze snajperów, który ze swojego posterunku na dachu wypatrywał zagubionego przechodnia.

Ateron wychylił się za róg. Dostrzegł mężczyznę, który właśnie wychodził z mieszkania dwa budynki dalej. Nie spiesząc się ruszył wprost na oddział Kerna. Kiedy mijał zaułek pomiędzy dwoma blokami, z cienia wyskoczył gwardzista z plutonu Ravendorfa. Chwycił mężczyznę od tyłu, jednocześnie zakrywając mu usta. Pieszy zaczął się szamotać, ale żołnierz bez trudu zaciągnął go w zaułek. Wszystko to trwało kilka sekund.

– Cywil unieszkodliwiony – zameldował gwardzista, który przechwycił mężczyznę.

– Alfa, tu Gamma. Ruszamy – rzekł Ateron dając jednocześnie znak swoim ludziom.

– Zrozumiałem – potwierdził Jasper.

Żołnierze w całkowitej ciszy, niemal bezszelestnie przebiegli skrzyżowanie i przykleili się do ściany bloku, w którym miał przebywać Doskonały.

– Gamma na miejscu – szepnęła Ateron wchodząc po schodkach i sięgając do klamki drzwi wejściowych.

– Alfa na miejscu – odparł Deveraux.

Kern już naciskał klamkę, gdy ponownie odezwał się Jasper.

– Gamma, mamy problem – Ateron natychmiast puścił klamkę. – Drzwi są zamknięte.

– Dasz radę otworzyć je po cichu? – zapytał Ateron.

– Zamek jest prosty. Daj mi chwilę.

Kern i dwóch towarzyszących mu żołnierzy przyczaili się przed wejściem.

Ateron, Tiro i Jasper wraz z członkami swoich plutonów ukończyli kurs dla sił specjalnych, na którym nauczyli się otwierać drzwi za pomocą wytrychów, uruchamiać samochody spinając kable i kilku innych pożytecznych rzeczy. Nikt jednak nie posługiwał się wytrychami lepiej, niż Deveraux.

– Alfa gotowa – zameldował Jasper kilkanaście sekund później.

– Zrozumiałem – odparł Ateron. – Wchodzimy.

Kern, Corsa i jeszcze jeden gwardzista o nazwisku Oven weszli jako pierwsi. Korytarz był ciemny. Zza

cienkich ścian mieszkania po lewej dochodziły podniesione głosy mężczyzny i kobiety. Nieco dalej wąskie schody prowadziły na piętro. Ateron gestem posłał sześciu ludzi na wyższe kondygnacje, a sam z towarzyszącą mu dwójką stanął przed wejściem do piwnicy. Drzwi nie były zamknięte. Kern powoli je uchylił, uważając, aby nie skrzypnęły. Włączył latarkę umocowaną pod lufą karabinu i poczekał, aż jego ludzie zrobią to samo. Trzy snopy światła przecięły mrok ukazując wąskie i strome schody prowadzące w dół. Ateron ruszył pierwszy, za nim Corsa, a na końcu Oven.

Korytarz na końcu schodów był tak niski, że wymuszał odruch kurczenia się w sobie. Gwardziści nie mieli z tym problemu, ponieważ jako dobrze wyszkoleni żołnierze, podczas akcji poruszali się w skulonej pozycji. Szli powoli, wyławiając z ciemności kolejne pomieszczenia, przynależne konkretnym mieszkańcom. Drzwi do zamykanych na kłódki piwnic były zbite ze zwykłych, nieheblowanych desek. Przez szpary między nimi można było się zorientować, że wewnątrz nikogo nie było.

Po kilkunastu metrach korytarz skręcał w lewo. Minąwszy róg, Ateron spostrzegł, że zza najbliższych drzwi dochodzi światło. Natychmiast zgasił latarkę. Za pomocą umówionych gestów przekazał informację swoim towarzyszom. Upewniwszy się, że zrozumieli, ruszył, a za nim Corsa i Oven. Byli szybcy, lecz cisi. Kern przykucnął przy drzwiach, nasłuchując. Ktoś w środku cicho pogwizdywał. Corsa ustawił się po drugiej stronie wejścia, z dłonią na odemkniętej zasuwie. Na rozkaz Aterona był gotów pociągnąć ją do siebie, tym samym otwierając drzwi. Oven stał tuż za dowódcą. Porucznik spojrzął przez szpary między deskami. Dostrzegł samotnego mężczyznę zwróconego tyłem do wejścia, który majstrował przy jakiejś dziwnej aparaturze. Ateron dał znak Corsie. Drzwi stanęły otworem, a pozostała dwójka gwardzistów wpadła do środka. Słyszając ruch, mężczyzna odwrócił się. Był w sile wieku, siwe, dawno niemyte włosy strąkami opadały mu na czoło. W dłoni trzymał słoik, który upuścił na widok luf karabinów wycelowanych w swoją pierś.

– Nie ruszaj się – syknął Ateron.

Mężczyzna stał jak sparaliżowany, niezdolny wydać z siebie dźwięku. W okolicach krocza jego spodni pojawiła się plama.

– Och, na litość boską... – skrzywił się porucznik opuszczając lufę. – Oven, zabierz go stąd.

– Tak jest – gwardzista chwycił mężczyznę pod pachę i bezceremonialnie wywłókł z piwnicy.

Gdy wyszli, Kern i Corsa przyjrzeni się aparaturze. Jej zastosowanie zdradził ostry zapach cieczy z rozbitego słoika.

– Staruszek szykował sobie drinka przed snem – podsumował Peter.

– Będzie musiał za to zapłacić. Kościół nie lubi, gdy ktoś łamie monopol na produkcję alkoholu. Idziemy.

Opuścili pomieszczenie włączając znów latarki. Wkrótce dotarli do rozwidlenia. Według planów, które Ateron przestudiował przed misją, korytarz przed nimi biegł prosto przez kilkadziesiąt metrów, po czym skręcał w prawo, kierując się do tylnego wejścia. Z tego kierunku nadchodził właśnie Jasper, prowadząc ze sobą dwóch żołnierzy. Przejście po prawej stronie natomiast prowadziło do kotłowni, wspólnej dla kilku sąsiednich bloków.

Kern i Deveraux spotkali się przy rozwidleniu. Kiwnęli sobie głowami, po czym skierowali snopy latarek w korytarz prowadzący do kotłowni. Był nieco szerszy niż te, którym do tej pory szli żołnierze, a na jego końcu znajdowały się stalowe, dwuskrzydłowe drzwi. Przez szparę pod nimi wydobywało się wątle światło. Bez wątplenia ktoś był w środku, ale raczej nie po to, aby rozpaść w piecu. Nie o tej porze roku.

Gwardziści szybkim krokiem ruszyli przed siebie. Światła latarek tańczyły po ścianach i nisko sklepionym suficie. Ateron i Jasper jako pierwsi stanęli przed drzwiami, nasłuchując. Z pomieszczenia dobiegał przytłumiony głos, ale dało się rozróżnić poszczególne słowa.

– Świat, nasz świat, materialny, został stworzony przez złego Boga, toczącego niekończącą się walkę z

Bogiem dobrym, który stworzył świat duchowy.

Aterona przeszedł zimny dreszcz. Doskonały prowadził heretyckie kazanie w kotłowni. Musieli je natychmiast przerwać.

– Tiro, światła – szepnął Kern.

Nikły blask przesączający się pod drzwiami zgasł. Żołnierz Ravendorfa odłączył prąd w całym bloku. Doskonały przerwał w pół słowa, dały się słyszeć zaskoczone głosy uczestników heretyckiego nabożeństwa. Ateron i Jasper jednocześnie chwycili klamki znajdujące się na obu skrzydłach drzwi i szarpnięciem otworzyli je. Gwardziści wpadli do środka.

– Na ziemię! Natychmiast! – wrzasnął Kern chwytając mężczyznę stojącego przy ścianie. Cisnął nim o podłogę, inny żołnierz natychmiast przydepnął mu plecy.

Rozkazy wydawane przez gwardzistów mieszały się z krzykami przerażenia cywilów. Światła mocnych latarek zamontowanych pod lufami ostrymi snopami przecinały powietrze, wyławiając z mroku wykrzywione strachem twarze. Kobiety i mężczyźni zgromadzeni w kotłowni byli brutalnie zmuszani do położenia się na zimnej posadzce, nieraz przy pomocy kolby karabinu.

Ateron zatoczył łuk, oceniając sytuację. Wyglądało na to, że gwardziści w pełni zabezpieczyli pomieszczenie. Wszyscy uczestnicy zgromadzenia, którzy nie byli nieprzytomni, leżeli twarzą do ziemi z rękoma na karku. Kern zlokalizował Doskonałego. Stał obok wygaszonego pieca, nieruchomy. Heretyk był stary. Plamy wątrobiane pokrywały jego pomarszczoną twarz, dłonie i prawie całkowicie łysą czaszkę. Równo przyszyżone, siwe włosy tworzyły półkole. Miał na sobie czarną, powłóczystą szatę. Ateron ruszył w jego stronę. Doskonały patrzył wprost na niego, wciąż spokojnie stojąc w miejscu.

Nagle porucznik usłyszał metaliczny szcęk odbezpieczanej broni. Błyskawicznie zwrócił lufę karabinu w stronę, z której doszedł dźwięk. Latarka oświetliła wysokiego mężczyznę, kryjącego się do tej pory w cieniu za piecem. Teraz wyszedł celując do Aterona z pistoletu. Heretyk zdołał oddać jeden strzał, nim karabin gwardzisty wypluł krótką serię. Trzy krwawe kwiaty wykwitły na koszuli mężczyzny, nim osunął się martwy na ziemię.

– Medyk! – krzyknął ktoś za plecami porucznika. – Dajcie tu medyka, natychmiast!

Kern odwrócił się, na moment zapominając o Doskonałym. Kilka metrów od niego w kałuży krwi leżał Peter Corsa. Strzał z pistoletu ranił go w szyję. Gwardzistą wstrząsały konwulsje, w oczach miał przerażenie. Jeden z żołnierzy, ten, który wołał o medyka, klęczał przy nim próbując zatamować krwawienie.

Nadbiegł inny żołnierz. Na hełmie miał namalowany czerwony krzyż. Przyklęknął przy Corsie, wyciągnął z torby bandażę i przycisnął je do rany. Niemal natychmiast zmieniły kolor na czerwony.

– Nie pomogę mu – ocenił. – Jedyne, co mogę zrobić, to udzielić ostatniego namaszczenia.

Medycy biorący udział w walce mieli do tego prawo, jeśli nie było najmniejszych szans, aby ranny przeżył. Rozerwana tętnica szyjna Corsy dawała mu co najwyżej kilkadziesiąt sekund życia. Ateron chwycił dłoń swojego żołnierza i kiwnął głową medykowi. Ten wyjął z torby pojemnik z olejem.

– Przez to święte namaszczenie niech Pan w swoim nieskończonym miłosierdziu wspomóż cię łaską Ducha Świętego – mówił nakładając olej na czoło i dłonie gwardzisty. – Pan, który odpuszcza ci grzechy niech cię wybawi i łaskawie podźwignie. Amen.

– Amen – szepnął Ateron zamykając powieki Petera.

Porucznik wstał i odwrócił się, szukając wzrokiem Doskonałego. Heretyk leżał na ziemi z rękoma na karku. Jeden z żołnierzy Aterona trzymał go na muszce.

– Wstań – syknął Kern podchodząc do Doskonałego i przystawiając mu lufę do karku.

Mężczyzna podniósł się powoli.

- Jeden z twoich ludzi zastrzelił mojego żołnierza.
- A ty odplaciłeś mu tym samym – odparł Doskonały głębokim głosem.
- Był moim przyjacielem. Podaj mi jeden powód, dla którego nie powinienem cię zastrzelić, heretyku.
- Podejrzewam, że masz swoje rozkazy, żołnierzu.
- Mam cię dostarczyć żywego. Tylko tyle...
- Poruczniku... – wtrącił szeregowiec pilnujący starca.

Kern ryknął i uderzył Doskonałego kolbą w głowę, pozbawiając go przytomności. Następnie wyjął z kieszeni plastikowy pasek. Założył Doskonałemu ręce na plecy i obwiązał nim nadgarstki, zaciskając mocno. Dodatkowo zakneblował go rękawem oderwanym z szaty kataru. Wszystko to na wypadek, gdyby jeniec odzyskał przytomność i próbował popełnić samobójstwo. Następnie z pomocą szeregowca zarzucił sobie wciąż nieprzytomnego heretyka na ramię chwytem strażackim i ruszył do wyjścia.

– Tu Gamma Jeden – rzucił do mikrofonu krótkofalówki przypiętego do barku. – Cel zabezpieczony, powtarzam, cel zabezpieczony. Udaję się na miejsce zbiórki.

Gdy tylko wyszedł z budynku, natychmiast dołączyli do niego pozostali gwardziści. Dwóch przejęło na siebie dźwiganie kataru, a reszta ich osłaniała. Ateron rozmasował bolące ręce. Żołnierze wyprowadzili uczestników heretyckiego nabożeństwa. Sześciu mężczyzn i siedem kobiet czekał proces przed trybunałem Inkwizycji, a następnie najprawdopodobniej zesłanie do obozów pracy. Co do losu Doskonałego nie było wątpliwości. Gdy tylko inkwizytorzy wydobędą z niego zeznania, zostanie skazany na śmierć.

Po chwili dwóch gwardzistów wyniosło z budynku nosze z ciałem Petera Corsy, zapakowanym w czarny worek. Ateron odprowadził towarzysza broni do miejsca, gdzie według planu czekały na nich ciężarówki.

\*\*\*

– Dobra robota, chłopcy! – huknął Gejzer, gdy tylko samochody zatrzymały się na placu za bramą kompleksu Katedry i wyskoczyli z nich zmęczeni walką żołnierze. – Kern, do mojej kwatery, już! Ty, Darane, również.

- No, to mi się oberwie – mruknął Ateron i ruszył za odchodzącym już pułkownikiem.
- Powodzenia, stary – rzucił Tiro.

Więźnia wyprowadzono z drugiego śmigłowca i poprowadzono do baraków. Miał kaptur na głowie i ręce związane na plecach. Dwóch żołnierzy prowadziło go trzymając za ramiona, a jednak mimo to od starego kataru biła godność. Szedł dumnie, wyprostowany i z podniesioną głową. Kern nigdy jeszcze nie widział człowieka zdolnego zachować tak doskonały spokój w obliczu śmierci, bo przecież nie było żadnych wątpliwości co do losu, jaki czekał tego heretyka.

*Doskonały...*

Pokręcił głową, po czym pobiegł za pułkownikiem i majorem.

Gabinet majora urządzony był skromnie. Pod oknem stało masywne biurko, puste, jeśli nie liczyć małej lampki oraz leżących w równym rzędku długopisów. Za nim, pod oknem, znajdował się skórzany fotel z wysokim oparciem. Na ścianie po lewej od wejścia wisiał krzyż, a obok zdjęcie przedstawiające Tagersa i poprzedniego patriarchę. Podawali sobie ręce uśmiechając się do obiektywu po udanej operacji Czyścicie. Ścianę naprzeciwko zajmowały metalowe szafki na dokumenty. Przed biurkiem stało proste krzesło, ale porucznikowi nie zaproponowano, aby usiadł, stanął więc tuż za nim.

– Co to miało być, Kern?! – wrzasnął pułkownik siadając za biurkiem, gdy tylko za Ateronem zamknęły się drzwi.



– Pułkowniku... – zaczął, jednocześnie wyprężając się w pozycji zasadniczej.

– Mogliście go zabić! – krzyczał Gejzer nie zważając na słowa Aterona. – Mogliście roztrzaskać głowę Doskonałemu!

– Pułkowniku...

– Cisza! Mieliście wyraźny rozkaz! Co sobie myśleliście, żołnierzu?!

– Że jeden z tych katarów zabił szeregowego Petera Corsę, panie pułkowniku.

Tagers w odpowiedzi mruknął coś pod nosem. Był żołnierzem, wiele lat spędził na froncie i rozumiał co oznacza utrata towarzysza broni.

– Jakkolwiek twoje zachowanie było lekkomyślne – zaczął major – udało ci się pojmać Doskonałego. Otrzymujecie więc pochwałę, żołnierzu. Jednocześnie za narażenie na szwank misji wyznaczamy wam karę. Myślę, że dwie godziny leżenia krzyżem w Katedrze da wam wystarczająco dużo czasu na przemyślenie swoich poczynań.

– Możecie odejść – dodał pułkownik.

– Ku chwale Chrystusa – Kern zasalutował, obrócił się na pięcie i sztywnym krokiem wyszedł z pomieszczenia.

Odprowadzały go zaciekawione spojrzenia żołnierzy. Gdy Gejzer zaczynał krzyżeć, słyszało go pół kompleksu. Ateron szedł przed siebie nie rozglądając się. Kilka minut później stanął przed otwartymi drzwiami Katedry.

Świątynia była pierwszym budynkiem, jaki postawiono w Paryżu po Dżihadzie. Poza wyjątkowymi dniami, jak święta kościelne, cywile nie mieli do niej wstępu. Msze odbywały się w niej dwa razy dziennie, ale tylko w niedziele gromadziły się w niej tłumy. Na co dzień Katedra była cicha. Podobnie było tego dnia. Kern minął portal i powoli ruszył główną nawą w kierunku ołtarza. W ławkach siedziało kilku mnichów i żołnierzy pogrążonych w modlitwie. Ateron dostrzegł wśród nich członka oddziału Jaspera Deveraux. Chłopak pewnie przyszedł podziękować Bogu za to, że przeżył dzisiejszą akcję.

Promienie słońca przechodzące przez wysokie witraże, rzucały barwne mozaiki na posadzkę. Kern widział wirujące w powietrzu drobinki kurzu. Święci patrzyli na niego ze swoich piedestałów surowym wzrokiem. Wojskowe buty wzbudzały echo w wyludnionej świątyni.

Wreszcie stanął przed ołtarzem. Na ścianie za nim wisiał prosty, stalowy krzyż, wysoki na pięć metrów i pozbawiony figury Ukrzyżowanego. Ateron wyjął z przybornika przy pasie palmtopa i ustawił go na wibracje za dwie godziny. Położył się na brzuchu wyciągając ręce na boki. Zbroja nie należała do najwygodniejszych w tej pozycji, ale rozkaz to rozkaz. Zamknął oczy i zaczął się modlić.

\*\*\*

– Więc o co chodziło? – zapytał Deveraux.

Dopiero co weszli w trójkę do kantyny. W przyćmionym świetle unosił się gwar rozmów i papierosowy dym. Było tłoczno. Mijając bar, Ateron skinął barmanowi. Ten podniósł rękę na znak, że zrozumiał i wyjął spod lady trzy kufle. Za kontuarem piętrzyły się półki pełne butelek najróżniejszych trunków, a nad nimi, na samym środku, wisiał drewniany krzyż.

Wszystkie stoliki były zajęte. Kern rozejrzał się po lokalu. Zauważył, że przy jednym ze stolików siedzi trzech żołnierzy piechoty i ruszył w tamtym kierunku. Gdy stanął nad jednym z żołnierzy, ten odwrócił się z grymasem na twarzy. Rozpoznał jednak czarny mundur oraz naszywkę oddziału Inferno. Spuścił wzrok, chwycił swój kufel i wstał, a w ślad za nim jego towarzysze. Ateron, Tiro i Jasper zajęli zwolnione miejsca.

Przynależność do oddziałów specjalnych niosła ze sobą różne przywileje.

– Najpierw mnie opieprzyli za grzmotnięcie Doskonałego kolbą w łeb, a potem dostałem pochwałę – Kern dopiero teraz odpowiedział na pytanie Jaspera. – Na koniec kazali leżeć krzyżem przez dwie godziny.

Pojawił się barman i postawił na stole trzy kufle pełne jasnego piwa.

– No cóż, mogłeś się powstrzymać – powiedział Tiro.

– Peter był moim kumplem, okej?! – rzucił Kern uderzając kuflem w stół. – A jeden z tych drani go zastrzelił.

– Wszystkich nas to czeka – stwierdził Jasper. – W którejs walce okazemy się zbyt wolni i będzie po nas. Jedyna pociecha w tym, że prosto z tego padołu łez udamy się do Raju i będziemy śpiewać z aniołkami.

– Więc napijmy się, póki jesteśmy tu w trójkę – powiedział Ateron wznosząc kufel.

– Za Petera – dodał Tiro.

Stuknęli się i napili.

Przy stole zapadła cisza. W końcu przerwał ją Jasper:

– Idziecie na proces?

– Jaki proces? – zapytał Ateron z uśmiechem.

– Doskonałego przecież. Jutro będzie po nim – stwierdził Tiro, po czym dodał: – Hej, byliśmy tam. Powinni nam dać miejsca w pierwszym rzędzie.

– Założę się, że będzie wielu chętnych – rzekł Jasper. – W końcu to Doskonały.

– Vanzeen rozprawi się z nim w mig – powiedział Tiro.

– Nie sądzę – zaprzeczył Kern. – Myślę, że będzie się chciał z nim pobawić. Udowodnić, że ten Doskonały wcale nie jest taki doskonały. Poza tym wątpię, aby proces odbył się tak prędko.

– Zakład?

Ateron nie odpowiedział. Myślał o Peterze.

– Hej, w porządku? – zaniepokoił się Jasper.

– Tak, tak. Po prostu się zamyśliłem.

– Wiem, co może ci poprawić humor.

– Doprawdy?

– Aha. Wypad do miasta.

– Macie jeszcze przepustki?

Obydwaj przyjaciele Aterona pokiwali głowami.

– No to chodźmy.

Kilka minut później szli mostem spinającym Ile de la Cité z lewym brzegiem Sekwany. Zbliżał się zmierzch i wkrótce droga utonie w oślepiającym blasku potężnych szperaczy zamontowanych na słupach przy bramie. Ateron, Tiro i Jasper zatrzymali się przy posterunku wojskowym. Wartownik zeskanował ich przepustki i uzyskawszy potwierdzenie autentyczności, machnął ręką, aby szli dalej.

– To gdzie idziemy? – zapytał Ateron Jaspera, gdy zeszli z mostu. – To twoja impreza.

– Jak to gdzie? – odparł Deveraux z błyskiem w oku. – Na Pola Marsowe, oczywiście.

– Oczywiście – westchnął Kern. – Mogłem się tego domyślić. Ta kelnereczka wciąż pracuje w tym samym nocnym klubie?

– Mam nadzieję.

Wsiedli do autobusu. Pasażerowie na widok czarnych mundurów umilkli, po chwili jednak uspokoili się widząc, że gwardziści nie mają zamiaru żądać ich kart identyfikacyjnych. Gdyby z żołnierzami Gwardii pojawili się Dominikanie, wtedy byłoby jasne, że polują na heretyków. A kiedy Dominikanie szukali innowierców, nie

spoczywali, dopóki jakiegoś nie znaleźli.

- Trójka przyjaciół rozsiadła się na siedzeniach nie płacąc za bilety. Kolejny przywilej żołnierzy Kościoła.
- Kelnereczka - blondyneczka – zaczął Jaspera Ateron. – Czy aby na pewno cię na nią stać?
  - Nazywa się Michelle i nie jest to jej pseudonim, jak w przypadku twoich dziewczyn – odparł Deveraux.
  - Sprawdziłeś jej kartę identyfikacyjną?

Przekomarzali się tak przez całą drogę. W końcu wysiedli na Polach Marsowych. Piękny niegdyś park otaczający Wieżę Eiffela znikł, przeorany przez artylerię Armii Boga. Teraz był to betonowy plac, nad którym sterczał ocalały fragment filara wieży, trafionej jedną z salw. Wokół niego powstało kilka barów oraz klubów nocnych, niemal jawnie oferujących usługi seksualne. Na każdym rogu można się było natknąć na prostytutkę gotową za niewielką kwotę zaoferować mężczyźnie kilka miłych chwil w pobliskim zaułku. Od czasu do czasu Kościół robił nalot na kluby, szukając heretyków i handlarzy narkotyków. Dziewczyny zazwyczaj zostawiano w spokoju, o ile nie rozprowadzały nielegalnych substancji, one za to odwdzięczały się traktując żołnierzy ze szczególną atencją. Nim weszli do Przekłętej Groty, miejsca pracy dziewczyny, która wpadła w oko Jasperowi, trzy prostytutki zdążyły zaproponować gwardzistom swoje towarzystwo w promocyjnej cenie.

W mdłym, czerwonym świetle wypełniającym klub nie było prawie nic widać. Trójka przyjaciół zajęła stolik z dala od sceny, na której w takt ciężkiej muzyki wyginały się dwie półnagie dziewczyny. Jasper specjalnie wybrał ten stolik wiedząc, że obsługuje go Michelle. I rzeczywiście po chwili do nich podeszła. Miała na głowie błyskające, czerwone rogi, a spod krótkiej spódniczki wystawał równie czerwony ogon. Tiro i Ateron zamówili po Krwawej Mary, natomiast Jasper wdał się we flirt z dziewczyną.

– Czyż ona nie jest urocza? – zapytał retorycznie przekrzykując dudniącą muzykę. Podziwiał falujący ogon kelnerki oddalającej się, aby zrealizować zamówienie.

Dwie minuty później na stole pojawiły się drinki, a Michelle, twierdząc że ma chwilę przerwy, zdjęła rogi i usiadła wniebowziętemu Jasperowi na kolanach.

Ateron spojrzął na stolik obok. Siedziała przy nim zjawiskowa brunetka. Kern przeciągnął po niej wzrokiem, zaczynając od butów na wysokim obcasie, poprzez założone jedna na drugą nogi, skórzaną, czerwoną spódniczkę odsłaniającą koronki pończoch, obcisły, mocno wydekoltowany top, aż po zalotny uśmiech umalowanych na krwawą czerwień ust. Pociągnął łyk wódki z sokiem pomidorowym po czym wstał, dyskretnie sprawdzając, czy na pewno ma przy sobie portfel.

\*\*\*

Dwóch podeszłych wiekiem mężczyzn, jeden w czerni, drugi w bieli, spoglądało na siebie bacznie. Inkwizytor Alexander Vanzeen i patriarcha okręgu Paryż siedzieli w komnacie należącej do tego ostatniego.

Vanzeen był Wielkim Inkwizytorem okręgu Paryż od czterech dekad. Zaczynał jako prosty mnich zakonu dominikanów. Przywdział habit w wieku szesnastu lat, po tym jak we śnie objawił mu się archanioł Michał i podarował ognisty miecz, aby walczył nim przeciwko wrogom prawdziwego Boga. W zakonie szybko dostrzeżono jego niezwykłą inteligencję. To, wraz z wyjątkową pobożnością i niezachwianą wiarą, stało się jego furtką ku dalszej karierze. Studiował teologię i im większym uwielbieniem darzył Boga i służbę Jemu, tym większą niechęć czuł do wszelkich odstępstw od wiary i ludzi, którzy je głosili. Do Inkwizycji wstąpił w wieku dwudziestu lat. Pierwszego heretyka, którego przesłuchiwał samodzielnie, skatował na śmierć, nim wydobył z niego przyznanie się do winy. To nauczyło go cierpliwości, ale nie wzbudziło najmniejszych wyrzutów sumienia. Przesłuchanie owego nieszczęśnika polegało na tym, iż uważał, że Bóg w swoim nieskończonym miłosierdziu nie przejmuje się takimi drobnostkami jak to, czy ktoś w niedzielę chodzi do kościoła, czy też

nie. Vanzeen wtedy już szczerze nienawidził herezji i heretyków, i był zdolny do wszystkiego, aby zapobiec rozprzestrzenianiu się niebezpiecznych teorii. Uważał, że przemoc jest niezbędnym środkiem do osiągnięcia tego celu i nie wzbierał się przed poddawaniem podejrzanych o herezję torturom. Nie robił tego chętnie, nie czerpał przyjemności z faktu, że zadaje bliźniemu ból, wiedział jednak, że cierpienie wzmacnia chęć wyznania swych win przed inkwizytorem.

Kapłan spoglądał na surowe ściany i wysokie witraże, przez które wpadały ostatnie promienie wieczornego słońca. Całe pomieszczenie tonęło w kolorowym świetle. Odruchowo wygładził fałdy czarnej szaty.

– Zawsze się zastanawiam – zaczął Vanzeen poprawiając się w głębokim fotelu z czarnej skóry – jak patriarchowie mogą sprawować władzę z tych komnat.

Patriarcha przekrzywił głowę.

– Przecież to Katedra – kontynuował inkwizytor. – Wyświęcona. I najczęściej zamknięta dla ludu.

– Jest ośrodkiem władzy – przerwał patriarcha. Miał głęboki, ciepły głos, z którym kontrastowały zimne oczy. – Danej od Boga.

Vanzeen parsknął.

– Bzdura.

– Symbolika jest ważna, szczególnie dla maluczkich. Kościół jest władzą. Oczywiście jest, że dostojnicy kościołni sprawują tę władzę właśnie ze świętyń.

– Jesteś tu zamknięty. Jesteś więźniem tej Katedry. Spójrz tylko. To cela. Większa od zwykłych cel i z balkonem, ale jednak cela.

– Nie wezwałem cię tu, aby dyskutować o moich warunkach mieszkaniowych – warknął patriarcha.

– A, tak. Doskonały. Jego pojawienie się jest... zaskakujące, to prawda.

– Myślę, że on go przysłał.

– Zakon ponoć nie istnieje.

– Nie prowokuj mnie – brodata twarz patriarchy nachyliła się nad stołem oddzielającym rozmówców. – Zakon może i nie, ale on wciąż żyje i nie spocznie, dopóki mnie nie dopadnie.

– Boisz się?

– Nie – patriarcha odsunął się. – Martwi mnie jedynie przebieg procesu.

– Doskonały umrze – Vanzeen wzruszył ramionami. – Jest heretykiem.

– Postaraj się tylko, żeby umarł zanim powie o jedno słowo za dużo. Twoja skłonność do dyskutowania z oskarżonymi, aby wytknąć błędy w ich rozumowaniu jest znana, a w czasie procesu Katedra będzie otwarta dla wszystkich.

– To sprawia, że ze zwykłego procesu robi się widowisko. Dzięki temu ludzie przychodzą. A raczej przychodzili, bo ostatni proces Doskonałego czy innego wysoko postawionego heretyka miał miejsce bardzo dawno temu... Poza tym kiedy to była dyskusja? Większość oskarżonych albo milczała, albo przyznawała się do winy. Ci, którzy próbowali polemizować wpadali we własne sidła lub plątali się w znaczeniach. Ludzie muszą widzieć spektakl, tylko wtedy przesłanie, jakim jest proces, dotrze do nich.

– Trzeba ludziom przypomnieć, jak kończą heretycy, to wszystko co muszą wiedzieć. Ale wcześniej wyciągnij z niego wszystkie informacje. Muszę wiedzieć czy Zakon przetrwał.

Vanzeen skłonił się.

– Masz moje słowo, że Doskonały nie zatai niczego.

\*\*\*

Gdy Ateron wrócił z pokoju dziewczyny, która przedstawiła się imieniem Pamela, Tiro siedział przy stoliku sam. Pamela... Równie dobrze mogła się nazywać Sandy bądź Angelika. Grunt, że dobrze się znała na swoim fachu i Kern wyszedł od niej na miękkich nogach. Co prawda czekała go potem spowiedź, ale jako żołnierz broniący wiary, mógł liczyć na taryfę ulgową. W międzyczasie Jasper ulotnił się gdzieś z Michelle, ale szybko wrócili. Zaróżowieni i szczęśliwi. No cóż, Deveraux przynajmniej nie musiał płacić.

Trójka przyjaciół dopiła drinki i opuściła lokal. Wstąpili do innego baru na szybkie piwo, a stamtąd wrócili do kompleksu Katedry. Zdążyli tuż przed północą. Mieliby spore kłopoty, gdyby się spóźnili. Żołnierze udający się na przepustki musieli wracać do koszar najpóźniej o północy, chyba że mieli specjalne dyspensy od przełożonych. Takie wydawano na przykład, gdy ktoś chciał odwiedzić mieszkającą dalej rodzinę. Ateronowi, Tiro i Jasperowi, jako że nie posiadali takich dyspens, na pewno zawieszono by przepustki, a możliwe, że również ukarano dodatkowymi sankcjami.

Ateron otworzył drzwi swojego pokoju i zapalił światło. Jako oficerowi, przysługiwała mu pojedyncza kwatera. Nie była duża, ani wyposażona w jakieś szczególne luksusy, ale Kern przynajmniej nie musiał się gnieść z innymi gwardzistami w barakach, na piętrowych łózkach. W pokoju znajdowały się jedynie najpotrzebniejsze sprzęty: łóżko, biurko z krzesłem, szafa na ubrania. Jedynymi przejawami zbytku były dwa podniszczone fotele i niski stolik, na którym wraz z przyjaciółmi grywał w karty. Na jego środku stała popielniczka, a w szufladzie biurka leżała awaryjna paczka papierosów i zapałki. Nad łóżkiem wisiała półka pełna dzieł o tematyce wojennej, wśród których znajdowała się mała, mocno zużyta książka traktująca o życiu świętego Jerzego.

Ateron rozebrał się i padł na łóżko. Długo nie mógł zasnąć, a gdy w końcu mu się to udało, dręczyły go koszmary. We śnie na nowo przeżywał akcję w Chartres. Jak w zwolnionym tempie widział kata z wycelowanym w siebie pistoletem. Widział krótki błysk, gdy pocisk opuszczał lufę. Słyszał świst kuli mijającej go o centymetry. Czuł nacisk palca wskazującego na spuście karabinu. Krótka seria i heretyk padł na ziemię. Ktoś wołał o medyka. Peter Corsa leżący na posadzce w szybko rosnącej kałuży krwi. Umierający w ciemnej, zimnej kotłowni.

Kern obudził się zlany potem. Przytłaczało go irracjonalne poczucie winy za śmierć szeregowego Corsy. Wiedział, że było irracjonalne, bo przecież nie mógł nic zrobić.

A może mógł? Może gdyby uważniej zlustrował pomieszczenie? Mógł szybciej ruszyć ku Doskonałemu, w pobliżu którego czaił się uzbrojony katar. Mógł dostrzec go wcześniej, nim tamten dobył broń i wystrzelił. Kilka sekund różnicy, a Peter mógłby żyć i wraz z innymi żołnierzami oddziału Inferno świętować dziś sukces misji. Zamiast tego leżał w dębowej skrzyni przed głównym ołtarzem Katedry, która z samego rana miała spocząć w poświęconej ziemi, wśród innych gwardzistów, którzy zginęli w obronie wiary.

*Bezczelowe rozważania. A Peter był żołnierzem, znał ryzyko.*

Ateron wypił trochę wody z przygotowanej wcześniej butelki, po czym opadł na poduszkę i próbował znów zasnąć.

\*\*\*

Ciężkie, metalowe drzwi odsunęły się z cichym brzęczeniem, gdy tylko w zakratowanym okienku pojawiła się twarz Alexandra Vanzeena. Strażnik skinął głową inkwizytorowi, lecz ten zignorował pozdrowienie.

Znajdował się w więzieniu Inkwizycji, umieszczonym pod jej główną siedzibą na terenie kompleksu Katedry. Po obu stronach zimnego i jasno oświetlonego korytarza ciągnęły się cele. Przed jedną z nich stało dwóch uzbrojonych gwardzistów. Rozstąpili się, gdy tylko Vanzeen przed nimi stanął. Kapłan spojrzął na

nich z zainteresowaniem, lecz oni patrzyli wprost przed siebie. Inkwizytor skinął i jeden z nich wprowadził kod na panelu przy drzwiach, które odskoczyły z cichym szcęknięciem. Vanzeen wszedł do celi, a za nim wartownik, który mu otworzył. W środku panował mrok. Vanzeen pomacał ścianę i odnalazł włącznik. Celę zalało zimne światło jarzeniówki.

Na podłodze leżał spory pojemnik kształtem przypominający ludzką sylwetkę. Obok na metalowym stojaku wisiała kroplówka, której przewód nikał w pojemniku.

– Wyciągnij go – mruknął inkwizytor.

Strażnik przyklęknął i odpiął klamry spinające pojemnik, a następnie uniósł wieko. Wnętrze wypełnione było solą fizjologiczną. Leżał w niej Doskonały. Był nagi. Z ramienia wystawała końcówka wenflonu, do którego podłączona była kroplówka. Widoczny był również przewód cewnika.

Gdy żołnierz uniósł pokrywę pojemnika, Doskonały miał zamknięte oczy, jakby spał. Vanzeen pochylił się i szturchnął go w ramię. Starzec uniósł powieki, ale oślepiony, zaraz zamknął je z powrotem, lekko się przy tym krzywiąc.

Trans, pomyślał inkwizytor.

Strażnik podniósł katar. Heretyk próbował wyjść sam z pojemnika, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Zachwiał się i byłby upadł, gdyby nie podtrzymał go wartownik.

– Ubierzcie go i zaprowadźcie do sali przesłuchań – rzucił inkwizytor i wyszedł.

Dziesięć minut później Doskonałego wprowadzono do niewielkiego pomieszczenia, w którym znajdował się tylko stół i dwa krzesła. Jedno z nich zajmował Vanzeen. Doskonały, ubrany w szary więzienny dreluch zajął miejsce naprzeciwko inkwizytora. Strażnik wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Obaj mężczyźni przez długą chwilę wpatrywali się w siebie.

– Gdybym miał więcej czasu, zostawiłbym cię w komorze deprivacyjnej na parę dni – powiedział inkwizytor.

Doskonały nie odpowiedział. Vanzeen oparł łokcie na stole i nachylił się w stronę katar.

– Nie sądzę, abys dobrowolnie powiedział mi to, co chcę wiedzieć – ciągnął inkwizytor – więc posłałem po lekarza i pentotal sodu. Mimo to zapytam. Jak się nazywasz? Skąd przyszedłeś? Gdzie jest wasza główna siedziba? Ilu was jest?

Katar milczał. Vanzeen odsunął się kiwając głową. Musiał przyznać, że Doskonałego trudno złamać. W gruncie rzeczy mógł się tego spodziewać, ponieważ katar, który osiągnął status Doskonałego musiał poddać się surowej dyscyplinie, która wzmacniała siłę woli. Inkwizytor jednak aż do tej chwili był pewien, że ma przed sobą uzurpatora. Prawdziwi Doskonali przestali istnieć wkrótce po operacji Czyściec. Jak ten mógł prześlizgnąć się przez sieci Kościoła? Jakim cudem przeżył i tak długo pozostawał nieuchwytny?

Inkwizytor nie odezwał się już słowem, dopóki nie pojawił się lekarz. Położył na stole czarne zawiniątko. Rozwinął je ostrożnie, ukazując strzykawkę oraz kilka ampułek, następnie podwinął rękaw Doskonałego i zacisnął na jego ramieniu gumowy wąż.

Katar zamknął oczy.

– W komorze wprowadziłeś się w trans – rzekł Vanzeen. – Tym razem to nie zadziała.

Dał znak lekarzowi, który wyjął z etui strzykawkę i jedną z ampułek. Wbił igłę w cienkie wieczko buteleczki i pociągnął tłok. Następnie odszukał żyłę w ramieniu Doskonałego i wstrzyknął serum prawdy.

Po pewnym czasie rysy twarzy heretyka złagodniały, wyglądał na odprężonego. Serum zaczynało działać.

– Jak się nazywasz? – zapytał ponownie Vanzeen.

– Dominique Collier.

– Skąd przyszedłeś?

– Jeśli ci powiem, sprowadzisz śmierć na moich braci i moje siostry – odparł po chwili katar.  
– Jesteście heretykami. W oczach Boga już jesteście martwi. Nie dostacie odkupienia i zmartwychwstania w dniu Sądu Ostatecznego. Wasza jedyna szansa, to wrócić na łono Kościoła.

Doskonały roześmiał się.

– Na łono waszego Kościoła? Nie, bracie. To wy pobłądziliście. To wy zakłamaście nauki Chrystusa.

– Wstrzyknij mu jeszcze jedną dawkę – Vanzeen zwrócił się do lekarza.

Ten popatrzył niepewnie na inkwizytora.

– No już! – ponaglił Vanzeen. – Nie mam całego dnia na dysputy teologiczne.

Lekarz spełnił polecenie.

– Skąd przyszedłeś? – zaczął ponownie inkwizytor.

– Ojciec nasz, który jest w niebiosach, niech Twoje imię będzie święte – Doskonały miał zamglony wzrok, mówił cicho.

– Gdzie są inni? – nie ustępował inkwizytor.

– To co Ty chcesz, niech się stanie.

– Gdzie jest wasza kryjówka?

– Chleba naszego niebiańskiego daj nam dzisiaj...

– Nie jesteś Doskonałym – Vanzeen spróbował z innej beczki.

Katar zdołał skupić na nim wzrok.

– Masz rację, nie jestem. Jestem *Bonhomme*, Dobrym Człowiekiem. To Kościół szydząc z nas nadał nam miano Doskonałych. Uczyniliśmy z waszej ironii naszą chlubę, ale ja wolę określenie Dobry Człowiek.

– Podobno wyrzekacie się przemocy – Vanzeen zignorował tyradę Dominique'a. – Brzydzicie się przemocą i zabijaniem. A jednak nie wahałeś się każąc swoim ludziom sięgnąć po broń.

– Mylisz się, bracie – odparł Collier. – Próbowałem ich powstrzymać, ale mnie nie posłuchali. To była ich decyzja, ich wybór, sami poszli za mną. Aby mnie chronić.

Po policzkach starca pociekły łzy.

– Prosiłem ich, ale nie słuchali. Nie byli jeszcze gotowi. Ale ja – powiedział patrząc w oczy inkwizytorowi – ja nie podniosłem ręki na twojego żołnierza, który po mnie przyszedł.

– I sądzisz, że czyni cię to lepszym?

– Ludzie przechodzą z katolicyzmu na kataryzm, nigdy odwrotnie.

– Wino może zamienić się w ocet, nigdy odwrotnie – odparł Vanzeen.

Collier się uśmiechnął.

– *Non nobis Domine, non nobis sed nomini tuo da gloriam...*

Vanzeen, wyraźnie już zirytowany, skinął na lekarza.

– Panie, kolejna dawka może go zabić – rzekł medyk.

– Nie obchodzi mnie to.

– Ale panie...

– Chcesz stracić licencję? – warknął inkwizytor. – Nie mam czasu słuchać bredni tego starca.

Lekarz wstrzyknął trzecią dawkę pentotalu sodu w żyłę Doskonałego. Heretyk westchnął.

– Skąd przyszedłeś? – zapytał Vanzeen.

Katar milczał.

– Skąd?

Cisza.

– Skąd?

– Montségur... – szepnął Doskonały, a po chwili dodał: – Przyjdzie Zbawiciel. Przyjdzie Niszczyciel.